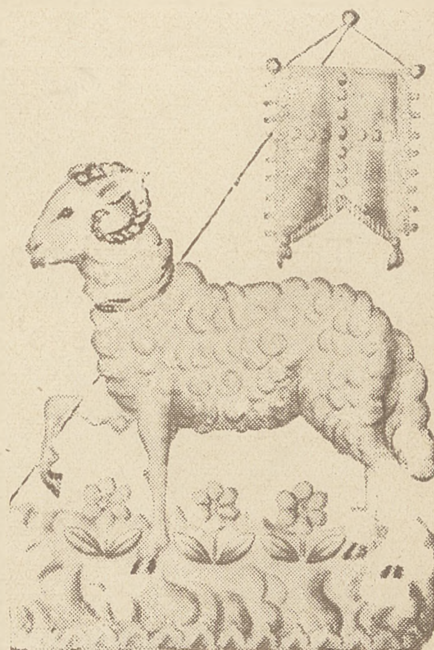
ŚWIAT SZKOLNY



Nr. 5

1937

WYNIKI KONKURSU NA OKŁADKĘ

Z pomiędzy nadesłanych projektów Komitet Redakcyjny wybrał projekt kol. Piątkowskiego, który zechce zgłosić się po nagrodę do Administracji „Swiata Szkolnego".

WYNIKI KONKURSU LITERACKIEGO

Z pomiędzy nowel nadesłanych Komitet Redakcyjny nie mógł nagrodzić żadnej, ponieważ poziom ich nie przedstawiał większej wartości literackiej. Niektóre z nich umieszczamy.

Termin nadsyłania prac do następnego numeru „Swiata Szkolnego" ubiega z dniem 30-go marca b. r.

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok XI | Marzec 1937 | Nr. 5 (64).

W 50-lecie śmierci Józefa Ignacego Kraszewskiego.

19-go marca 1887 r. zakończył życie w Genewie na wygnaniu pierwszy, na wielką miarę, powieściopisarz polski, Kraszewski. — Zwłoki sprowadzono do Krakowa i złożono na Skałce wśród sarkofagów najwybitniejszych Polaków. Pogrzeb był manifestacją narodową na cześć pisarza, budziciela życia duchowego i inicjatora pracy społecznej w ciężkich warunkach bytu dziejowego, wywołanych klęskami lat 1931 i 1863.

Ogólnie da się nakreślić jego postać w ten sposób: poeta i powieściopisarz, odtwórca życia współczesnego i przeszłości uświadamiający ogółowi stan moralny i kulturalny różnych sfer społecznych i pokoleń; publicysta, historyk, krytyk, redaktor, wydawca.

Kraszewski zajmuje wybitniejsze stanowisko w dziejach naszego życia wewnętrznego, pracy na polu kulturalnym, niż w historii literatury. Jest większym jako niezmordowany pracownik, zastępujący i tworzący instytucje oświatowe, niż jako uzdolniony pisarz.

Sam sobie też wyznaczył rolę, jaką zamierzał spełnić w społeczeństwie. „Mnie nie chodzi wcale o siebie, o moje pisma. Nie wiele stoję o sławę; mnie chodzi o to, aby pismami swoimi, przykładem swoim, krzykiem, biciem poruszyć, zachęcić, aby stworzyć drogi innym" — mówi pisarz o swoim zadaniu, a od potomnych wymaga tylko tyle: — „Pragnę, aby kiedyś o mnie powiedziano, żem się przyłożył do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów".

Przypatrzmy się działalności publicystycznej pisarza Nie widzimy, by przez całe życie trzymał się jednych poglądów; tu charakterystycznym objawem jest zmienność.

Początkowo przyłącza się do reakcyjnej grupy Rzewuskiego i Grabowskiego. Hołduje światopoglądowi katolickiemu i arystokratycznemu, który przeciwstawia się i potępia rewolucję 1831 r. Hasła te głosi jako redaktor miesięcznika *Ateneum*. W niedługim czasie zmienia swój stosunek do arystokracji. W *Ateneum* umieszcza szereg obrazków społeczno-obyczajowych, w których wytyka bez ogródek wady arystokracji i szlachty, a zarazem ze współczuciem obrazuje sytuację ludu wiejskiego. — Od tej chwili przeradza się w pisarza i działacza o poglądach postępowych, co odbija się przede wszystkim w utworach. Występuje w nich sympatia do ludzi, obok religijności występuje tolerancja, gotowość popierania poczynań, mających na celu postęp i szerzenie oświaty. Najgoręcej przemawia za ludem. W dalszym rozwoju swego światopoglądu dochodzi do wniosku, że konieczną jest w książce dążność moralna; wtedy powieść spełni swe zadanie wśród najszerszych warstw społeczeństwa.

W czasach powstania styczniowego wysuwa na pierwszy plan działalność społeczną i publicystyczną. Zostaje redaktorem warszawskiej *Gazety Codziennej*, gdzie bez przeszkód wygłasza swe poglądy na teraźniejszość, odwodzi od powstania, krytykuje Wielopolskiego, a żąda uwłaszczenia chłopów i szerzenia wśród nich oświaty. W końcu r. 1862 zmuszony do opuszczenia Warszawy, osiedla się na stałe w Dreźnie. Tu przypada okres najwytrwalszej i najcięższej pracy. Niesie pomoc emigrantom w postaci książki i ofiar pieniężnych. Najpoważnieszym wyrazem publicystycznej działalności Kraszewskiego z czasów drezdeńskich były ogłaszane w formie roczników „Rachunki", będące krytyką przejawów życia narodowego. — Usiłował przez nie kierować opinią publiczną, jednak brak wyraźnego i zdecydowanego programu politycznego, a zarazem własne sympatie i wahania nie pozwoliły mu wydawać sądów trzeźwych, tak, że „Rachunki" stały się poniekąd przyczyną zatargów, a nie dążeń i wspólnych wysiłków ku poprawie ówczesnego stanu

moralnego popowstaniowego społeczeństwa. — Gdy przekonuje się, iż głos jego w sprawach politycznych budzi rozdrażnienie, zabiera się znowu do pracy literackiej. Tworzy teraz około dziewięciu powieści rocznie. Na polu literackim zyskuje sobie daleko więcej zwolenników. Zaczyna teraz wydawać wielki cykl powieści historycznych, jednak na doprowadzenie do końca zamiaru nie starczyło mu czasu. Zamówienia z kraju rosły, a Kraszewski, chcąc zaspokoić żądania czytelników, pisał powieści z pośpiechem, bez większych aspiracji artystycznych, na co wpłynął też i zły stan zdrowia.

W r. 1879 Kraszewski obchodzi jubileusz w Krakowie, gdzie uczczono go jako pisarza i jednego z najlepszych Polaków. Społeczeństwo dało wyraz swym sympatiom dla powieściopisarza, który dał ogółowi książkę polską, a wyparł z kraju wątpliwej wartości romans francuski.

Wielką zasługą pisarza jest nawiązanie i utrwalenie węzłów narodowych, osłabionych pod wpływem rozgraniczeń politycznych, ciężkich warunków bytu i niskiego stopnia oświaty. Kraszewski swoją powieścią utorował drogę następcom, przygotował i wychował czytelnika, którego poparcie pobudzi i wyniesie Sienkiewicza i Prusa, a powieści polskiej umożliwi zajęcie zaszczytnego miejsca w literaturze powszechnej.

Temu, który zbudził echa leśne.

Perłowo-srebrny mrok zstąpił na ziemię. Cienie kładły się zwolna na karty, ozdobione pięknymi winietami, zacierały litery, z których każda zawierała w sobie dziwny czar, spowijający całą, maleńką książeczkę.

Jasio podniósł głowę. Utkwił oczy w szeregi pni jodłowych i słuchał. Może znów „echa wołają się po górach“, może opowiadają o tym bohaterze, który spoczywa opodal.

Spojrzał niemal z miłością na książeczkę, leżącą na jego kolanach. Każda karta tchnie ukrytym uwielbieniem dla Jana Rozłuckiego, który „umierał dla „Niej“ bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu“, który nie napuszonymi frazesami, ale śmiercią okazał, że rozumie, co to jest ojczyzna. Pozostawiał tę duchową spuściznę synowi, spuściznę piękną, bohaterską, wołał nań „stamtąd“, spod spróchniałego krzyża, spod smugi złotego piachu, milczeniem potężniejszym od krzyku!

A czyż syn go zrozumiał?

Jasio uczuł ściśnięcie gardła. Jeśli zapomniał ten Piotruś o swym ojcu, okrytym łachmanami, jeśli wyżej postawił ordery i lśniące szlify moskiewskich mundurów?

Wdzięczna puszcza zachowała wspomnienie o Janie Rozłuckim. Śpiewała mu do snu poszumem strzelistych konarów i w przedziwnych swych szeptach opowiada dzieje tych, których krew wsiąkła w miękkie mchy, zbroczyła kolumny sosen. Puszcza nie zapomina!

A iluż było takich Rozłuckich, którzy przesunęli się, jak cienie, by spocząć pod kobiercami dzwonków leśnych lub maków polnych i stanąć przed Bogiem z chlubnym świadectwem życia i śmierci?!

Nieznani, zapomniani żyją tylko w echach leśnych, budzących się wieczorami, a jedynym śladem po nich na ziemi jest pagórek ziemi, czasem krzyż, wyciągający w pustkę krzywe ramiona.

Jasio nadsłuchiwał wpatrzony w głąb puszczy. Oto w rozbłękitnionej ciszy wieczornej budzą się echa. Płyną gdzieś po wierzchołkach jodeł, plączą się zająkliwym poszeptem w kolorach kaliny.

Ale, żeby je można zrozumieć, trzeba mieć serce czystsze, niż krople rosy, rozmigotane na kielichach kwiatów.

Jasio podszedł do młodego nagrobka, wznoszącego się opodal. W ręku trzymał „Echa leśne“.

Księżyc sączył platynowe światło, połyskując między koronkami igieł jodłowych, rzucił snopy promieni na skrmoną mogiłę, prześwietlił srebrem nici pajęcze, rozsnute na ramionach krzyża. Mgły owinęły misterną tkaniną puszczę, otuliły miękko krzyż i wzgórek. Puszcza stroiła jak mogła tę garść ziemi, kryjącą serce, bijące niegdyś żywo, które umilkło dla „Jej“ dobra.

Jasio ukląkł. Przytulił jasną głowę do wilgotnej darni. Przylgnął gorącą twarzą, gdzie znajdowała się zapewne twarz zmarłego. Chciał człowieka, tak bardzo bliskiego i drogiego. — Gorące łzy spływały po policzkach i wsiąkały w ziemię, docierały zda się wgłąb do tych kości ukrytych tam, były najwyższym wyrazem hołdu dla bohatera.

Usta zachłystywały się jakimiś wyrazami niewypowiedzianymi, które nie mogły dobyć się z głębi rozkołatanego serca i tłukły się, tętniące krwią serdeczną, w piersiach, w gardle. — Wśród szmerów puszczy zaszeleścił rozełkany szept: „Jeśli i ty miałeś syna, jak Jan Rozłucki i jeśli on nie wypełnił ostatniej twojej woli, to ja... ja ci to wynagrodzę, ja będę twoim synem, a ty będziesz mi rozkazywał głosem potężnym, głosem ducha twego bohaterskiego“!

A echa leśne powtarzały historie dziwne, gawędy niesłuchane przez ludzi i niezrozumiane.

Księżyc otaczał aureolą promieni maleńką książeczkę o czarodzeijskiej mocy rozbudzania serc. *L. G.* G. P. J. S.

Od Sodalicji.

I my.

Są chwile w życiu narodu, w których naród stacza się do upadku aż do straty niepodległościowego bytu. Są jednak i takie chwile, w których naród odradza się wewnętrznie, nowe czerpie soki — nową krew przez młode pokolenie. Odradza się — spycha z siebie pleśń, która zdaje się pokrywać go zupełnie i staje się znów silnym i godnym bytu wolnościowego i niezależnego.

W życiu naszego narodu były chwile smutne — upadku i chwile radosne, zwycięskie — odrodzenia i zmartwychwstania.

Gdybyśmy sięgnęli do faktów historycznych — to odkrylibyśmy zarówno przyczynę upadku, jak i przyczynę odrodzenia. Dziwna rzecz, że te dwie przyczyny schodzą się i stanowią — jedną i tę samą. Jest nią wiara. — Nie będziemy zastanawiali się nawet nad wadliwym, według niektórych późniejszych historyków, ustrojem Polski — bo nawet „liberum veto", które uważa się za jedną z głównych wad ustroju — nie było szkodliwe — dopóki naród polski wierzył — to szlachcic-poseł miał przed sobą dobro Polski — i strzegł go. — Ale kiedy wskutek szerzenia się inowierstwa, a następnie bezbożnictwa i rozpusty (epoka Saska) — więzy moralne osłabły — szlachcic dbał o swoje dobro, zapominając o dobru ogólnym. Wiara więc była spójnią dla narodu polskiego, była źródłem, z którego naród czerpał soki życiodajne.

Weźmy rok 1655 — rok „Potopu", który zalewał Polskę i zdawało się, że ją ogarnie i całkowicie pochłonie. A jednak tak nie było. Mała forteca jasnogórska oparła się, dzięki opiece M. Boskiej i siłą moralną zwycięstwa — tchnęła ducha wiary w naród polski. Wiara ks. Kordeckiego odrodziła naród, bo był to mąż opatrznościowy, w którym idea polska była uosobiona, On znalazł źródło, w którym odradzać się ma naród polski. Tak bowiem pisze: „Zaprawdę powiadam wam, iż się okaże, że Polska nie czym innym powstanie, tylko miłosierdziem Królowej, która tu mieszka". Ona podźwignęła naród spod nóg nieprzyjaciół, aby bez wojska i skarbu wyparł najeźdźcę, a nawet ścigał go we własnym jego kraju. Tu, u stóp Bogarodzicy, zbiera się senat z królem — i tu wychodzi odezwa, nawołująca naród do odzyskania własnej władzy. Nic więc dziwnego, że Mickiewicz mówi o tym okresie: „Częstochowa, to cała Polska". Zrozumiał Jan Kazimierz opiekę Bogurodzicy nad narodem polskim i Jej też poświęcił swój naród i uczynił Ją „Królową Korony Polskiej".

Mijają lata.

Nadchodzi okres najcięższy dla naszego życia narodowego — okres upadku, a wraz z nim okres rozbioru i niebytu państwowego. I w tym okresie widzimy łaskę i pomoc Królowej Korony Polskiej, w której poeci i wieszczowie nasi widzieli źródło odrodzenia i zmartwychwstania narodu jako państwa.

Na nic zda się ucisk i prześladowanie. Cierpienia i katusze hartują nas — konsolidują duchowo i harmonizują.

Nastaje wreszcie okres kilkoletnich zmagań wewnętrznych — nadchodzi odrodzenie. A po nim okres walk o niepodległość — zwycięstwo, uwieńczone bytem państwowym, a po nim nowe zwycięstwo z 1920 roku. Zwycięstwo narodu odrodzonego w Maryi. Teraz zaczyna się okres pracy nad budową Niepodległej Polski, Polski mocarstwowej. Zrozumiało społeczeństwo, że trzeba zacząć od podstaw, od fundamentów tej przyszłej Polski mocarstwowej i czyni wysiłki, aby te fundamenty były najtrwalsze — najzdrowsze. Stara się o to, ażeby młodzież wychowywana była w wierze katolickiej, aby była rycerzami Maryi — Królowej Korony Polskiej. Społeczeństwo stara się zaszczepić w młodzież silne więzy moralne, któreby ją z Marią łączyły. Zrozumiała to w roku 1936 młodzież akademicka i w pielgrzymce do Matki Bożej obrała Ją sobie za Patronkę i Hetmankę. I my rozumiejąc hasło Mickiewicza: „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice" — pragniemy stanąć pod sztandarami Maryi i przyczynić się do tego, żeby odrodzenie narodu było zupełne. I my podobnie, jak młodzież akademicka, pragniemy obrać Marię za Patronkę i Hetmankę i w bieżącym roku na początku maja — stanąć w Jej szeregu. Nie może w nim braknąć nikogo!

Sodalis.



Odradzając się duchowo — budujmy Wielką, Mocarstwową Polskę!



Konkurs Literacki.

DYNGUS.

(NOWELA).

Nadchodził wieczór. Bure chmury wlokły się leniwie po niebie i prószyły co chwilę śniegiem. Było zimno i brzydko. Miękki śnieg mieszał się z błotem, owiewał drzewa, chałupy i płoty, ale wnet topniał, że tylko strumienie brudnej wody sączyły się zewsząd. A już najwięcej rozczulały się strzechy. Krople stopionego śniegu spadały po zielonych mchach i zgniłych źdźbłach na podwórza i ścieżki, że nie było nawet którędy przejść. Świat cały zdawał się rozpaczać i tonąć we łzach; płakało niebo, wył wiatr chwilami, żaliły się kury zmoknięte, krzekocząc zcicha, milczała wieś, bo i ludziska byli jacyś markotni, że to niby post największy. — Nawet stary młyn, co ciągiem warkocze, stróżując wsi, umilkł. Woda, puszczona na wszystkie stawidła, pieniła się pod nim, rwała, jak burza, a żółta i rozchybotana wydzierała się na łąki i błonie. Na olszynach siedziały zmoknięte, napuszone wrony i tylko nieraz uderzyła która skrzydłami, strzepując zwilżony śnieg ze siebie, lub odleciała w stronę chałup.

Gdzie niegdzie na podwórzu zaczerwienił się wełniak, albo gęś wysadzona z gniazda dobijała się z głośnym wrzaskiem do drzwi. Pod szopami „rychtowali" chłopi wozy do kościoła. — Smarowali osie, nakładali półkoszki i robili wysokie siedzenia ze słomy. Niektórzy, mimo „psoty", rżnęli sieczkę kieratem na święta, aż wytarte tryby piszczały przeraźliwie.

W Wójcikowej chacie było cicho i smętnie. Wójcik reperował coś na podwórzu, Wójcino doiła krowy, a tylko Mańka prasowała na ławie przy piecu bieliznę. W chacie panował półmrok; po kątach niewyraźnie zarysowywały się ciemne sprzęty, złocenia na obrazach, migotały w blasku tlejącego na kominie ognia. — Zapach kwasu z kapusty czuć było w całej izbie. No pewno, w Wielki Piątek nie godzi się jeść nic innego. Rozchodził się również swąd od żelazka, w którym żarżyły się węgle. Mańka z wielką starannością odprasowywała falbabany białej spódnicy. Kropiła uparte wodą, że żelazko, niby ta gęś, siedząca pod stołem na jajach, syczało. Namordowała się ona nad tym prasowaniem, namęczyła nieboże, aż pot perlisty wystąpił na czoło, a policzki z gorąca rumieńcami się okryły. Ale za to jak się w Wielkanoc ubierze, jak się jeszcze w ziele przystroi, to pierwsza będzie w kościele wśród panien! Miło jej będzie widzieć, jak oczy wszystkich parobków będą na nią zwrócone. I na tę myśl rumieniła się jeszcze bardziej, że krew o mało nie wytrysnęła z policzków.

A cóż dopiero, gdy ją zobaczą z maikiem, a zwłaszcza Stach!

Nie, o tym nie mogła rozmyślać spokojnie. Na wspomnienie, że ona poniesie w tym roku maik, że przed każdą chatą zaśpiewa, a specjalnie Stachowi, tak Stachowi tę pieśń, co to ją sama wymyśliła — opanowywał ją jakiś lęk, a zarazem rozkoszne drżenie.

— A niechta — pomyślała.

Odłożyła odprasowaną spódnicę, dosunęła ławę do pieca i zapaliła małą lampkę.

Niedopaloną zapałkę włożyła między zęby i pobiegła przejrzeć się w szybie, ale zaraz ją rzuciła, bo ktoś szybkim krokiem, że aż dudniło, zbliżał się do chałupy.

— Mańka, co robis?

— Śkło cysce. A to ci sobaka, zadymieło sie! Ni moge sie dotrzeć.

— Wies, ja zem przyleciała do ciebie, no zgadni, po co?

— Adyć widze, ze ci sie jojka bielom w podołku. Bedziemy malować, he?

— Zgadłaś, Maryś, zgadłaś. Zbierajom sie tu do ciebie przyś i Ludwina i Staśka i Brónka.

— A to lepi, bo bedzie i weseli, chocioz ta dzisioj nie ku weseliniu cas. O!

— Cóz ci ta dolego, ześ tak jękła?

— Mało to mom kłopotu, dziołcho!

Poczęła coś mówić wolno o matce, potem o Stachu, wreszcie tylko szeptała coś do ucha koleżance.

A, gdy się na dobre ściemniło, siedziały już wszystkie u Mańki Wójcionki. Obsiadły naokoło piec, każda trzymała patyczek w jednej, a jajko w drugiej ręce i wodziły roztopionym woskiem po jajkach.

Czego tam na nich nie było! Czerniły się rogate księżyce, gwiazdy promieniejące, baranki, litery, nazwiska, trawy, pajace i przeróżne inne. A przy tym gadały jedna przez drugą.

— A kto zgadnie: Barełecka wina, a w ni dziórki nima?

— Barełka z wódkom, źmiok, makówka, grobus (globus) — sypały się odpowiedzi.

— E, gdzie tam, barełka mo dziure, źmiok nimo wina, makówka — to nie barełka, a grobus, to nie wim jak, ale tez nie to.

— A to co, kieś tako mądro?

— A cóz trzymos w łapie?

— Juści, ze tak. Ale jakie to łatwe i ze jo zem tez ni mogła zgadnąć!

Zaczęły sobie opowiadać, co zrobią z jajkami pomalowanymi, komu je dadzą, a stara Wójcino przyszykowała tymczasem skórek z cebuli i zaczęła je gotować w tygielku. Wkrótce i jajka znalazły się w tej niezbyt przyjemnie pachnącej cieczy. Ciekawe dziewczyńskie oczy raz po raz zaglądały w tygielek, a czekały niecierpliwie końca.

Jakoż po kilkunastu minutach, kiedy powszechnie uznano, że jajka będą miały dosyć, wyjęto z fajerki tygielek i oczom wszystkich ukazały się cudacznie pokrasione jajka. I raz wraz wyjmowała któraś swoje dzieło, a wszystkie oglądały z ciekawością, podziwiały głośno i zazdrościły w duchu.

— Nojładniejse poniesieta jutro na święcynie — ozwała się Wójcino.

— No pewnie. Ciekawe my, kto usykuje nojładniejse.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nigdzie się na wsi nie świeciło. Głucha cisza i ciemności zapanowały dokoła. Mańka siedziała w komorze i stroiła maik. Na samym czubku niedużego świerczka czerwieniła się na kokardkę zawiązana wstążka. Wstążka nie byle jaka, kupiona w sklepie. Niżej zwieszały się ścinki z kolorowych bibułek, łańcuszki i pająki ze słomy, malowane jajka, nitki ufarbowanej wełny, a w środku dyndał dzwoneczek, co za każdym poruszeniem napełniał komorę srebrzystym dźwiękiem. Gdy ubrała już drzewko wszystkimi cackami, odeszła o kilka kroków, przyjrzała się dokładnie i rzekła półgłosem:

— Nie, takiego to jesce we wsi nie beło.

A potem pomyślała sobie, że gdy ona go poniesie, pierwsza urodą i śpiewaniem w całej wsi, to mu drugie tyle piękna przybędzie.

Z tym przeświadczeniem położyła się spać. Nazajutrz, ino świtek zabłysnął, krzątała się wedle „gadziny“ i po izbie. Roboty, jak to zwykle na święta, było dużo. Ale, gdy ludzie zaczęli ściągać z kościoła ze świeconą wodą, postanowiła zająć się „święceniem“.

Powyjmowała najpiękniejsze jajka na pierzynę, potem opłókała i wytarła chrzan, wyniosła z komory kiełbasę i inne rzeczy, które oświęcić należy. W końcu przyniosła z ogródka trochę zielonego barwinku do przystrojenia święcenia. Święcenie przyrządziła na malowanym w kwiaty talerzu. W środku stało masło żółciutkie w szklance, trochę soli w bańce, siemienia lnainego, dwa kartofle, naokoło żółte jajka, a wszystko opasane grubą, bronzową kiełbasą. — Zewsząd wychylał się barwinek, inne ziele i kolorowe kwiatki. Do tego dołożyła jeszcze bułkę chleba, zawiązała w obrusek i poniosła do Szymka, gdzie miał ksiądz dla całej wsi oświęcić.

Ruch tam był nie do opisania. Baby, a przede wszystkim dzieci kręciły się po chałupie, przyglądały się „święceniom“ i porównywały, czyje najładniejsze. A święcenia stały na stole, ławach i ziemi. Były przeróżne; jedne wystrojone z szynkami, mięsem, babkami, inne skromne z chlebem i solą.

Jak kto mógł, tak sobie urządził, byleby oświęcone jadł w Wielkanoc.

Dzieci wyczekiwały księdza z niecierpliwością. Za każdą furmanką wołały: — „Jedzie!“

Już zmierzch zapadał, gdy ukazał się na błotnistej drodze. Z głośnym sapaniem wszedł do izby, pochwalił Pana Boga, a wszyscy, dzieci i starzy, cisnęli się do niego, aby ucałować rękę. Poświęcił dary boże, pogwarzył z obecnymi i prędko odjechał. Najważniejsza czynność była ukończoną.

— — — — — — — — — — — — — — —

Mańka nie mogła dzisiaj spać. Takie ją wzruszenie ogarnęło, że bała się nawet myśleć o jutrze. No tak, bo gdy wszystko było odległe i niewyraźne, jak cień, to sobie nic z tego nie robiła, ale teraz! Nie, nie powstydzi się, nie może tego zrobić wobec Stacha! Nie mogła zasnąć. Jutrzejsze obrazy snuły jej się przed oczyma w ciemnościach i nie dawały spokoju. Tak spędziła noc całą. Nad samym ranem zasnęła natomiast twardym snem.

Koguty piały już po raz trzeci. Brzask różowy sączył się przez szczeliny w drzwiach do komory. Znad pól płynęły dźwięczne piosenki skowronków. We wsi gdzie niegdzie otwierały się skrzypiące drzwi, ktoś wychodził na dwór, zaglądał do bydła i rozglądał się po świecie. Tu i ówdzie zapiszczał żuraw w studni lub ozwał się brzęk wiadra.

Mańka spała. Spała snem twardym. Czasami się poruszała, mamrotała pod nosem i znów leżała spokojnie. Rumieńce wybiegły jej na twarz, włosy poobwijały się koło szyi, a ręce bezwładnie leżały na pierzynie.

Nagle drgnęła. Zdawało jej się, że ktoś stąpa koło ściany, że się skrada, że zaskrzypiały cicho drzwi.

Gwałtownie zerwała się z łóżka i nim zaspana mogła zorientować się, co się dzieje, mignęła jej w oczach postać Stacha.

Zatrzęsła się od strachu i poczuła nagle zimno, przetarła oczy i... zauważyła dopiero, że cała jest oblana wodą. Powiodła oczami po pierzynie i zatrzymała wzrok na maiku. Leżał przewrócony, wstążki zmoczone wodą, jajka pogniecione.

Z długich włosów Mańki spływały strumienie zimnej wody, a z ócz puściły się strumienie gorących łez.

J. Fatyga. Kl. III-b G. P. H. S.

JESTEM SAM.

(NOWELA SMUTNA).

Jestem sam ze swym smutkiem. Za szklanym oknem ciepłego pokoju hula wiatr. To wpada nagle między przewody elektryczne i niewidzialną ręką uderza w nie brutalnie — jak w struny, gra na nich melodie złośliwe, świszczące, przeraźliwe. To znowu kołysze skurczoną z zimna lampą, wiszącą na zgarbionym łuku latarni...

A ciekawy mróz przywiera niewidoczną twarzą do okien ciepłego pokoju. Lecz nie na długo...

Chociaż maluje na szybach bogate i piękne wzory, zda się, wschodnich kwiatów, jednak ciepło pokoju spędza go bezlitośnie, chucha mu w zimne oblicze dopóty, dopóki mróz nie rozpłacze się ze złości, dopóki bezsilny nie spłynie z szyb w kroplach łez swoich...

Pomyślcie!...

Tam tak zimno!... Tak zimno!... Na samą myśl o pogodzie za oknem pokoju aż nieprzyjemny dreszcz przechodzi po kościach.

Jestem sam i patrzę przez zwilgotniałą szybę i słucham: Uderzają o nią cienkie i wątłe jak pajęczyna łodygi winnej latorośli, która, zda się, skarży się na coś. Uderzają o nią, pnąc się po wyszczerbionym murze ku dachowi...

Spojrzę w drugie okno: Stara grusza wyciąga przed siebie konary — jak żebrak ręce; ugina się pod smaganiami wiatru — jak słaba trzcina.

Nigdzie ni cienia wesela...

Tylko okienne kwiaty pocieszają smutną duszę, wzruszają ją tym, że mają moc i siłę do życia, że żyją, że się zielenią.

I znowu oczy me błądzą i patrzą na samotną gruszę. Drży, nękana zimnym wichrem. — Jednak niezasłużona chłosta nie budzi skarg, nie wyciska ni jednej łzy...

Patrzę. Co za szczęście!... Szczęście!...

Towarzysz i druh!...

Na jednej z nagich gałęzi śpi pożółkły, samotny liść. On żyje, cierpi chłód, drży. A jednak trwa w cierpieniu, którego nie może wyrazić w słowach ludzkich. Boleść go trawi okrutna. O, biedaku, drżysz z dotkliwego zimna! A mnie cierpienie dręczy fizyczne.

I płakałbym dlatego, że jestem cierpieniem nieszczęśliwy, że jest mi źle, że nie ma przy mnie nikogo, że jestem sam...

Ale pomyśleć tylko!...

Przecież moje nieszczęście nie jest bezgraniczne, mój ból nie jest bólem wszystkiego, moje cierpienie nie jest najdotkliwszym.

Tam, w samotnym liściu starej gruszy uwięziona jest zaklęta weń dusza, dusza bez imienia, bez nazwy. A ona cierpi bardziej, niż ja.

Trzeba mi czuć jej boleść, jej nieszczęście, jej cierpienie. A współczucie przychodzi bez nakazu, bez przymusu, samo. Przyszło samo i czuję. Już nie jestem sam. Mam druha, który bardziej cierpi, aniżeli ja. Rozmawiam z nim myślą moją, pocieszam go ciepłem słów.

— — — — — — — — — — — — — —

Przezroczyste szyby matowieją zwolna, mrok pada na nie szary i snuje się bezmyślnie; ostre kontury ram okiennych zacierają się powoli, wyraźne zarysy konarów gruszy giną w zapadającym zmroku... Nie widzę już samotnego liścia, bo i on zginął w rozlewnej rzece ciemności wieczorowej, która parła przed siebie — jak powódź.

Jestem znowu sam... Wraca bezlitośnie moje fizyczne cierpienie... Zagryzam z uporem wargi, aby nie jęczeć — jak ten, który napróżno żebrze litości, aby nie wyć — jak pies, aby nie skowyczeć — jak on, gdy go potrącono brutalnie nogą.

A w myśli, przybitej boleścią do ziemi, powtarzam wyrazy:

— Przez noc!... Przez noc!... Do rana!... Do jutra!...

A bezsenna noc idzie wolno: to straszy swą czarną gębą — jak czeluść swą niezmierzoną, ukrytą w ciemnościach głębią; to sekundami uderza o naprężone nerwy. Wlecze się bez końca; ociąga się — jak człowiek, który ma za wiele czasu; leniwie człapie.

A w myśli powtarzam ciągle, uparcie:

— Przez noc!... Do rana!... Do jutra!...

Tymi słowy budzę dziwną o uśpioną nadzieję, która tylko wtedy jest matką głupich, gdy oni bez niej i tak są głupi. I liczę długie sekundy, które snują się wolno, — wolno, jakby szły na niechybne skazanie.

A rano? Co będzie rano? Zobaczę mego druha w niedoli, który cierpi bardziej, niż ja. Zobaczę towarzysza, który potrzebuje pocieszenia, serdecznego współczucia i kojących słów. To będzie rano! A teraz usnąć na małą chwilę, choć na moment zamknąć znużone powieki.

Lecz noc jest okrutna swą bezsennością. Nawet delikatna łodyga winnej latorośli nie śpi, lecz kołacze ciągle, puka nerwowo a bezustannie w okienną szybę. Uderzenia stają się monotonne, przygłuszające ból, usypiające...

— — — — — — — — — — — — — —

Ledwie rozwarłem powieki, wnet skierowuję wzrok ku szklanej szybie, za którą cierpi samotny liść. Patrzę i szukam wzroku towarzysza: Nie ma go już!... Nie ma go!... Nie ma!...

Bezlitosny wiatr porwał go i poniósł w przyszłość nieznaną. I znowu jestem sam. Lecz nie czas to marzeń!

One śpią ciche na bezkreśnej równinie stepów. One śpią łagodne w cieple wietrzyków południowych. One śpią delikatne w ciszy spokoju. A ja jestem sam!... *E. D.* G. P. H. S.

Czy wszyscy się zgadzamy?

„Mickiewicz a my".

W związku z artykułem kol. B. K. „Mickiewicz a my", zamieszczonym w poprzednim numerze „Świata", kilku kolegów z G. P. H. S. złożyło nam swoje uwagi. Podajemy je w streszczeniu, zachęcając do dalszej wymiany zdań na ten temat. Szczególnie ciekawe byłoby zestawienie z poglądami, jakie w tej kwestii mają koleżanki.

Autor artykułu „Mickiewiczz a my" nie jest wyrazicielem ogólnego poglądu na sprawę naszego stosunku do wielkiego poety. Rzecz prosta, że tak, jak kol. B. K., czuje i rozumuje wielu kolegów i w ich imieniu niech wolno mi będzie dorzucić kilka uwag, które, być może, naświetlą jeszcze nieco sprawę owego stosunku.

Rzecz znamienna, że wielu z kolegów za jedną z przyczyn niechęci do dzieł Mickiewicza uważa przymus szkolny. Twierdzą oni, że idący z góry nakaz czytania utworów Mickiewicza zniechęca młodzież do istotnego poznania, a co za tym idzie i zrozumienia poety. (Ciekawe, że inni koledzy podają ten sam powód, jako podnietę do dalszego studiowania dzieł Mickiewicza). Stąd też używanie skrótów, czasami nawet bez uprzedniego poznania oryginału, co oczywiście musi przeszkodzić nawiązaniu jakiejkolwiek łączności duchowej z poetą.

Dość słabo zaznaczył kol. B. K. jałowość dzieł Mickiewicza, jeśli idzie o szukanie nowych dróg i idei. „Zmieniły się czasy, zmieniły się dążności, ideały i hasła" — jak pisze kol. A. S. I w tym, zdaje się, tkwi sedno rzeczy. Błądzimy w bezideowości naszego życia i szukamy bezskutecznie celu wzlotów, a przecież tam, w tych stuletnim mchem pokrytych dziełach, nie znajdziemy go. Nie szukajmy go tam zatem. „My idziemy naprzód, wciąż oddalamy się..." — kol. T. S.

Mickiewicz zawsze będzie nieśmiertelnym wirtuozem słowa i tym, który pchnął naszą literaturę na lepsze tory, ale przecież nie możemy zapalić się dla jego idei i marzeń — już spełnionych, albo nigdy nie mogących się spełnić. Szukamy dróg ziemskich i szczęścia ludzkiego na ziemi, nie szukajmy tego zatem w dziełach Wielkiego Romantyka.

Są jednak wśród nas tacy, którzy stawiają rzecz inaczej, a niechęć naszą do Mickiewicza tłumaczą nieumiejętnością czytania i niezrozumieniem poety. „Poznaj dokładnie duszę poety, przenieś się w jego epokę, a wtedy zajmij stanowisko względem niego" — pisze kol. K., ale z drugiej strony w wirze i zamęcie dzisiejszego życia jakże trudno jest przenieść się w epokę tak różną i tak niepodobną do dzisiejszej. I jeszcze jedno. Dzieła Mickiewicza toną wśród nawału nowych i dobrych książek. Gdybyśmy chcieli, jak to mówi kol. K., poznać dokładnie duszę poety, to musielibyśmy odrzucić rzeczy nowe, a co za tym idzie zostać w tyle za idącym naprzód życiem. Zostać w tyle i cofnąć się o 100 lat. Czy to możliwe? Słusznie też pisze kol. A. J. „Zamieszanie polityczne, gospodarcze i społeczne czyni atmosferę niespokojną i nerwową. I jak tu się zdobyć na dłuższy spokój, który konieczny jest do głębokiego poznania twórczości Mickiewicza?"

Dla nas Mickiewicz może być tylko przykładem, jak należy walczyć i czynić w imię swoich idei, jak należy dążyć do raz wytkniętego celu, ale jego idee — od tych oddziela nas krew przodków przelana za wolność i cały wiek. Dlatego musimy odejść od tego posągu, od tego człowieka, który był „aere perennius", bo dzisiaj jest nam już niepotrzebny.

Zebrał i komentarzami opatrzył

J. R. G. P. H. S.

Z pieśni.

MODLITWA.

Dałeś mi życie, Panie — nie proszony,
Dałeś mi ducha, co w piersi mej płonie,
Dałeś mi dobrowolnie — dałeś jakby w dani...
Daj, proszony dziś o to, — szczęście mi daj,
Panie.
Życie me — iskrą wskrzeszone przez Ciebie,
Iskrą, która zagaśnie, przez Ciebie zdmuchnięta
O, daj jej, Ojcze, szczęście, niech zawsze
pamięta.
O tym, żeś był jej Ojcem. — Niech raz będzie
w niebie!
„Prochem jestem, o Panie, przed Twoim
obliczem,
Prochem, o Ty Wszechmocny, i pyłem
i niczem..."
Daj prochowi — proch drugi, pył
wszechwłdztwa Twego.
Proch i pył to dla Ciebie, a słońce dla niego...
Padam przed Tobą, Panie, Twój sługa
skruszony,
Rzucam prośbę przed siebie — wyciągam
ramiona,
O szczęście proszę, Panie — bom szczęścia
spragniony,
A szczęściem dla mnie, Ty wiesz, kto jest...
Pieśń ma nieskończona.

H. U. G. P. H. S.

PATRIOTYZM.

Gdy zabierałam głos w dyskusji na temat patriotyzmu, nie przeszło mi nawet przez myśl, że spotkam się z podobnymi wywodami jak te, które miały miejsce w ostatnim numerze „Świata" p. t. „Jeszcze o „Patriotyźmie i Imperialiźmie" uwag kilka". Przede wszystkim przyzwyczajona jestem do tego, że w takim dziale, dziale, jak ten „Czy się wszyscy zgadzamy" bywają w normalnych warunkach artykuły, dotyczące samej dyskusji, a nie krytykujące, z mozołem zapewne wyłowione powiedzenia, nie dotyczące zresztą danego tematu.

Czy kol. Jerzy Jasiński nie zorientował się jeszcze, na jaki temat prowadzimy dyskusję? Bardzo przepraszam za to pytanie, ale spowodował je kol. artykuł. Porusza w nim bowiem kol. wszelkie możliwe kwestie, a więc: rozwodzi się kolega nad tym, że nikt przecież nie może nikogo zmusić, by ten wierzył w to, co drugi palnie, względnie napisze, — że nie należy zbyt wielkiej żywić nadziei, iż to, co się samemu napisze, znajdzie wiarę u innych (a więc poskramia kol. mój optymizm?), liczy kol. na palcach wyznawców teorii (?!) przeze mnie głoszonych, zastrzega na marginesie, iż broń Boże, nie występuje w obronie zaatakowanego kolegi, ani też nie podziela jego poglądów, — ale, jak kol. sam rozumie patriotyzm, tego nawet między wierszami wyczytać nie można! Szkoda! Jakież zatem stanowisko zajmuje kol. w naszej dyskusji — jeśli wolno zapytać? Mnie się zdaje, że conajmniej niewyraźne. W dalszym ciągu rozprawy zbija kolega tezę, której zresztą nikt z biorących udział w dyskusji nie postawił, i pisze: „że jeżeli chcemy kolonii, to nie chodzi nam o pomnożenie ludności, bo naród nasz nigdy nie pragnął sztucznych obywateli". Zupełnie słusznie. Nam rzeczywiście nie chodzi o sztucznych obywateli, ale chcemy terenów dla ekspansji gospodarczej i ludnościowej. Z chwilą, gdy otrzymamy kolonie, zacznie się osiedlanie, opanowywanie placówek pracy, wyzyskiwanie bogactw kraju na korzyść naszego narodu, a w tym wpyadku, czy sądzi kol., że ludność danego terytorium zgodzi się dobrowolnie na takie traktowanie jej własności?

A może kol. myślał o wynalezieniu dla Polski jakiegoś nowego lądu, niezamieszkałego. — wobec czego naród polski mógłby zachować tradycyjny (ale tylko w teorii) wstręt do wszelkiego przymusu i gwałtu. Jeśli zaś chodzi o tę naszą agresywność za czasów dynastii piastowskiej i jagiellońskiej, to nie wiem, czy tak bardzo przeholowałam. Czy kol. nie słyszał o zagarnięciu korony czeskiej przez Bolesława Chrobrego, o podboju Pomorza przez Krzywoustego, o zdobywaniu wpływów na pograniczu polsko-ruskim, wreszcie o planie zupełnego podboju Prus (Konrad Mazowiecki) i planach Oleśnickiego co do objęcia korony Czech i Węgier w celu połączenia tych państw z Polską i zajęcia takiego stanowiska na Wschodzie, jakie zajmowali przedtem cesarze rzymsko-niemieccy w środku Europy? W tych dążeniach dość jasno przejawia się chęć rozszerzenia granic państwa i rozprzestrzenienie wpływów polskich.

Zaprzestańcie zatem, kolego, rozważań na temat, czy ja z wolą, czy mimo woli stałam się sprzymierzeńcem autora „Imperializmu", bo i tak złe wnioski wyciągniecie, więc szkoda czasu. Pamiętajcie też, że jeżeli chce się coś komuś udowodnić, względnie zarzucić, to trzeba to robić sprytniej i krytykować rzeczy istotne, a co najważniejsze brać pod uwagę całość wywodów. W przeciwnym bowiem razie dojdziecie kol. do takich wyników, jak pewien niefortunny interpretator Pisma Świętego. Połączył on słowa powiedziane o Judaszu, który dowiedziawszy się o skazaniu Chrystusa „odszedł i powiesił się", ze słowami samego Chrystusa z innego już rozdziału, gdzie mowa jest o miłosiernym Samarytaninie, którego Jezus stawia za przykład i mówi do pytającego, co ma czynić izraelity „idź i ty i czyń podobnie". — Interpretacja co do efektu niezawodna.

W. Ogarówna.

Uwagi na odpowiedź o „Ludziach bezdomnych".

Gdy przeczytałem odpowiedź kol. Ar-Ota na moje uwagi o „Ludziach bezdomnych" — uśmiechnąłem się, bo...

W tym miejscu powinno nastąpić kilka nawiasów, kilka „tak", kilka „O", wszystko to z odpowiednimi wykrzyknikami i pytajnikami na wzór „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Następnie powinienem dojść do wniosku, że kolega Ar-Ort, a nie ja, jest „godzien litości i pożałowania" — a udowodniwszy to ostatnie w „kulturalnej" dyskusji, wszczętej przez kol. Ar-Orta, spocząć z wewnętrznym zadowoleniem na laurach, jak to, mam nadzieję, kol. Ar-Ort, nie mając nic lepszego do roboty, uczynił. Nie zrobię jednak nic z tego wszystkiego, ale przystąpię do samej sprawy.

Pierwszy zarzut, postawiony mi przez kolegę Ar-Ota (oprócz tego, że nie znam „Ludzi bezdomnych", jestem frazesowiczem itd. itd.) brzmi, że ja twierdziłem w swoich uwagach, iż dr. Judym jest utopistą, a cel jego utopią, natomiast kolega stwierdza, że dr. Judym, zakładając szpital dla chorych dzieci osiąga swój cel, a co za tym idzie, ani on nie jest utopistą, ani cel jego utopią.

Jednak to twierdzenie posiada w sobie wiele luk i niedokładności.

Po pierwsze, gdyby dr. Judym osiągnął swój cel przez wybudowanie jednego czy dwóch szpitali, wtedy już chyba nic nie stałoby mu na drodze do małżeństwa z Joasią, bo cel, w którego osiągnięciu (według dalszego twierdzenia kolegi) mogła przeszkadzać Joasia, został już osiągnięty.

Więc musimy zgodzić się na to, że *cel nie został zrealizowany,* a przyjmijmy, że „postawienie na nogi" szpitala w Cisach *zbliżyło* doń tylko dr. Judyma. Ale przecież zbliżenie do czegoś nie wyklucza faktu, że to coś jest dla człowieka nieosiągalne.

Weźmy przykład z życia.

Są dwie osoby. Jedna z nich siedzi, przypuśćmy, na balkonie trzeciego piętra, a druga idzie ulicą. Osoba idąca ulicą zauważyła osobę siedzącą na trzecim piętrze i chce się do niej dostać w ten sposób, że podskakuje do góry.

Jak nazwiemy takiego człowieka?

Maniakiem i wariatem.

A myśl dostania się w ten sposób na balkon utopią, mimo to, że każdy skok zbliża osobę skaczącą do osoby siedzącej na balkonie i że sam cel istnieje; tylko, że w tych warunkach jest on dla osoby skaczącej nieosiągalny. Tak samo podniesienie szpitala w Cisach, zbliżające dr. Judyma do celu, nie daje mu jednak żadnych szans jego osiągnięcia.

W jednym tylko wypadku byłby cel dr. Judyma osiągalny: wtedy, gdyby wszyscy ludzie zaczęli myśleć tak, jak on, ale chyba przy tym, że jest to możliwe nikt się nie będzie upierał. Musimy zrozumieć jedną rzecz: że cel bardzo szlachetny i bardzo wyraźny, osiągalny *dla całej ludzkości* zjednoczonej we wspólnym wysiłku, *dla jednego człowieka* jest utopią.

Wtedy już naprawdę będzie to sławny Don Kichot, lub człowiek podskakujący pod balkonem trzeciego piętra, aby się nań dostać. I wtedy, atakując z „furią", takiego jegomościa będziemy mogli nazwać go i maniakiem i wariatem, bo na nic innego nie będzie zasługiwał.

Następną sprawą, którą porusza kol. Ar-Ot, jest zagadnienie, czy lekarz powinien być apostołem i społecznikiem, jednym słowem, czy powinien być ideałem, czyteż zwykłym śmiertelnikiem.

Wspaniałe są ideały, piękną jest wiara w nie, ale ideały ideałami, a na życie powinniśmy patrzeć bardziej realnie. Zawód lekarza sam w sobie jest już wielkim poświęceniem i samozaparciem. Spójrzmy tylko na pracę lekarzy, bez liczenia, ile on za to weźmie, a zobaczymy, że bronienie tym ludziom odrobiny własnego szczęścia jest nieuzasadnione.

Kolega Ar-Ot na koniec swoich wywodów rzuca przypuszczenie, że dr. Judym strzeli sobie w „łeb", jak to uczynił Korzecki. I słusznie. Ale czy kolega nie przypuszcza, że życie dr. Judyma potoczyłoby się inaczej, korzystniej i dla społeczeństwa i dla niego samego, gdyby się ożenił z Joasią?

Zdaje mi się, że jednak tak.

Zgadzam się z kolegą, że dr. Judym jest postacią tragiczną i pełną liryzmu.

Ale przecież my na niego patrzymy, jak na człowieka z krwi i kości, a nie jak na symbol lub ideę. Krytykując człowieka, nie musimy koniecznie krytykować idei, która sama w sobie może być bardzo piękna. A widzicie, kolego, co do ludzi-ideałów, „pełnych liryzmu i tragizmu", to oni zawsze pozostają w dziwnym konflikcie z życiem i innymi ludźmi, co albo bardzo młodo umierają, albo już nieco „odchowani" kończą w Tworkach.

Wicz. G. P. H. S.

Białe i czerwone.

Niedawno napadnięto na biednego żuczka i omal mu nie obcięto skrzydełek, a teraz czytelnicy są świadkami na wielką miarę zakrojonej kampanii przeciwko mnie. W szranki wystąpiła odważnie „z otwartą przyłbicą" kol. W. O. i wspaniałymi, naprawdę godnymi Wołodyjowskiego, sztychami... swego pióra powaliła mię w proch. Nie zdążyłem jeszcze otrzepać się z kurzu, kiedy z niemniejszą furią wpadł na mnie kol. M. M.

Teraz się już chyba nie podniosę — nec Hercules...

Ale pozwólcie, łaskawi zwycięzcy, że zapytam Was, za co mi się właściwie dostały „takie razy". Bo, darujcie, ale z Waszych, niewątpliwie z talentem napisanych, „ciętych" artykułów ja — „z kategorii takich ludzi..." (kol. M. M.) — nie wiele wyrozumieć mogę.

Exemplum: odpowiedź kol. W. O.

Według słów kil.: „Sprawa ta (patriotyzm) potraktowana jest zbyt *jednostronnie* (przeze mnie). Ależ zgadzam się z tym najzupełniej, tylko niech kol. zastanowi się nad obustronnością swej repliki.

Dziwi mię jedno: kol. mówi, że „kochać ojczyznę można wtedy, gdy ona istnieje (sic!)"

A zatem, według kol., wszyscy ci Polacy, którzy przelewali krew za wolność Ojczyzny przez tyle lat niewoli, nie mogli Jej pokochać, bo nie istniała na karcie Europy? *To mi się podoba!* Więc nie umiłowanie narodowej sprawy było motorem całej epopei bohaterskich czynów?...

Rok 1794, 1831, 1863, 1914 to tylko impulsy. A może tych bojowników pchała do czy-

nu żądza przygód, poszukiwanie mocnych wrażeń, nuda życiowa?...

Nie wiem, czy kto mógłby się z tym zgodzić, a przecież to jest zgodne z koncepcją kol. W. O.

Nawracając jednak do tematu raz jeszcze twierdzę, że Polska nigdy nie ujawniała dążności imperialistycznych, ani Polacy nie byli nigdy szowinistami. — Wszystkie zdobycze Chrobrych, Jagiellonów, Batorych i Żółkiewskich nie pochodziły li-tylko z agresywności. Na to zresztą odpowiedział już kol. Jasiński. — Dalej, nie chciałem wcale zachęcać do pozowania na baranki ciche i pokornego serca. Nie roszczę sobie pretensji do tego, aby kogoś przekonać i kazać mu wierzyć w to, w co ja wierzę.

Ale weźmy naszą politykę zagraniczną. Nie prowadzimy ani wojen zaborczych, jak Włochy, ani nie zrywamy umów, jak Niemcy, utrzymujemy z wszystkimi przyjazne stosunki, a jednak obecnie wszyscy się z nami liczą. Napewno, gdyby system taki był zły, nasi politycy nie kontynuowaliby go.

Pan Prezydent Rzplitej prof. I. Mościcki powiedział w jednym ze swych przemówień:

„Polska obca uczuciu egoizmu, rozumie, że dobrobyt poszczególnego narodu jest ściśle związany z pomyślnością innych narodów i że dla dobra wszystkich należy współpracować nad powszechną pacyfikacją i rozbrojeniem, zarówno faktycznym, jak moralnym“. — Sądzę więc, że zdanie Pierwszego Obywatela Państwa Polskiego jest w danym wypadku autorytetem. Jeżeli On, kierownik nawy państwowej, tak utrzymuje, to z pewnością kurs naszej polityki nie zwróci się w inną stronę, a płomienne propagowanie idei kol. W. O. i kol. M. M. nic tu nie pomoże... na szczęście!...

Nie jest to przecież „pozowanie na baranki ciche i pokornego serca“ — praca nad pacyfikacją.

Wydaje mi się mało prawdopodobnym aby znalazło się wielu takich ludzi, którzyby mogli zgodzić się na poglądy kol. W. O.

Niestety autorka ma takie iluzje.

Jeżeli chodzi o odpowiedź kol. M. M. — to jest ona zgodna z zarzutami poprzedniej, co zresztą sam autor gorąco przyznaje;

Ba, nawet kol. M. M. wydaje się „świetnym“ taki komentarz: „kochać coś można wtedy, gdy coś istnieje...“ Kolego, bądźmy szczerzy, bez komplementów, toć to nonsens!

Czy kolega sądzi, że jeśli Ojczyzna nasza będzie prowadzić wojny („zajmie wyraźne i bezkompromisowe stanowisko, wobec ukrytych i jawnych wrogów Państwa i Narodu Polskiego“) to ów milion dzieci, jak kolega twierdzi, bez szkół, znajdzie te szkoły, czy owe setki tysięcy Jej (Polski) synów otrzyma pracę? (Chyba, że kolega myśli o kopaniu okopów i rowów strzeleckich.).

Niestety, dużo się krzyczy w dzisiejszych czasach, że trzeba wielkich czynów dla Ojczyzny, padają z trybun wielkie słowa — tak — tak — a przed najmniejszą ofiarą się cofa.

A właśnie od tych najmniejszych rzeczy trzeba zacząć. Bo z małych rzeczy składają się wielkie. Miłować Ojczyznę powinien każdy i poświęcać dla niej według możności swe siły i pracę.

Według możności mówię, bo przecież nikt chyba nie będzie wymagał od małego dziecka wielkich rzeczy. Ale niech tylko każdy uczeń powie sobie, że się uczy nie tylko dla stopnia, nie tylko dla siebie, ale dla Ojczyzny, by powiększyć liczbę świaitłych Jej synów — to już będzie bardzo wiele z jego strony. Nie będziemy przecież wysyłać uczniaków z pierwszych klas gdzieś na podbój „terenów kolonizacyjnych“.

Być może, że potraktowałem sprawę potriotyzmu nieco jednostronnie, ale jednak z Waszymi koncepcjami, Szanowni Oponenci, zgodzić się nie mogę. Nie próbuję Was przekonać, że jest tak, a nie inaczej. Każdy ma przecież swój własny pogląd na pewne sprawy.

Jedni mówią: „Patriotyzm jest święty“; tak, jeśli jest miłością Ojczyzny; drudzy: „jest barbarzyński“, tak, jeśli jest nienawiścią bratnich ludów.

Zdaje mi się jednak, że znaleźliśmy wspólną płaszczyznę, a jest nią dobro Ojczyzny.

— Salus rei publicae — suprema lex! — Czcimy jedno i to samo bóstwo, ale na swój sposób każdy. Tak jak je czci mieszkaniec Polinezji i Indianin naprzykład.

A czy kto będzie miał za złe Indianinowi, że nie czci bóstwa tak, jak czarny?...

T. K. G. P. G. S.

Do Was, którzy wkrótce mury szkolne opuścicie.

Artykuły zamieszczone w dziale „O ratunek duszy i serca dziecka polskiego“ w numerach 23, 24, 25 i 26 „Gońca Częstochowskiego“ wywołały na terenie całego miasta, a także gimnazjów częstochowskich — wzburzenie i gorące dyskusje.

Całokształt zagadnienia ujął bardzo mądrze i rzeczowo kolega J. H. w poprzednim numerze „Świata“ i nie będę tych rzeczy powtarzał. Nie mniej na tym artykule nie możemy poprzestać, bo sprawa jest zbyt paląca, zbyt ważna także dla *przyszłości Polski*.

Nie wystarczy stwierdzić stanu faktycznego, trzeba znaleźć również środki przeciwdziałające. Rodzice nasi podali je — chociaż w czę-

ści — na łamach „Gońca“, — my także ze swej strony musimy to uczynić.

Nawiązując do artykułów w „Gońcu“ — stwierdzić muszę, że za najtrafniejszy uważam artykuł p. Mariana Felińskiego (Nr. 26), z którego chcę wyciągnąć dla nas odpowiednie wnioski.

Podaję poniżej kilka wyjątków ze wspomnianego artykułu, na którym zamierzam się oprzeć: „Dziecko urabia sobie podstawy charakteru w gronie rodzinnym. Zależnie od wartości rodziców-wychowawców podstawy te są złe lub dobre“ — „Jakżeż ta młodzież bez naszej pomocy oprze się tylu nęcącym i zdradliwie przez zbrodniczą rękę podsuwanym pokusom? żądać od niedoświadczonych charakterów bohaterstwa, gdy my, zahartowani, na tyle woli i energii zdobyć się nie możemy? — A więc zabierzmy się do dzieła i pomóżmy młodemu pokoleniu.“ — Z tych paru zdań wynika jasno, że rodzice myślą gorąco o poprawie istniejących stosunków i podają nam rękę, widząc nasze zmaganie nad urobieniem własnych charakterów. Przyjmijmy dłoń wyciągniętą, chciejmy uważać rodziców za swych *powierników* i *doradców*, bo predystynuje ich do tego doświadczenie i rozwaga wieku dojrzałego. — To jeden wniosek..

Główny nacisk kładę jednak na coś innego.

Autor wspomnianego już artykułu stwierdza, że: od wartości rodziców-wychowawców zależy, czy podstawy wychowania dzieci będą dobre czy złe. A nieco dalej mówi o nieumiejętnym zapobieganiu przez rodziców demoralizacji wśród młodzieży, wysuwając jako jedną z głównych przyczyn zły przykład starszych.

My, którzy za kilka miesięcy opuścimy mury szkolne ze świadectwem dojrzałości w ręku, — którzy za kilka lat zaczniemy zakładać rodziny, najważniejsze podstawy potęgi i wielkości państwa, — wyciągnijmy wniosek głębszy, wniosek konieczny.

Gdy my staniemy się rodzicami i wychowawcami, nie będziemy przecież chcieli patrzeć na stosunki podobne dzisiejszym (mówię o rzeczach niewłaściwych), nie będziemy dopiero wówczas gorączkowo szukać dróg wyjścia i środków zaradczych. Na wychowawców nowego, lepszego niż dziś pokolenia, musimy przygotowywać się już teraz. Patrząc na współczesne metody wychowania, rzeczy dobre i właściwe — zachowujmy, a rzeczy niewłaściwe — zmieniajmy na lepsze. w naszym planie życiowym na przyszłość. (Właściwe podejście do tego nie tylko nie umniejszy naszego szacunku i miłości względem rodzicó,w ale przeciwnie stosunek wzajemny bardziej zacieśni).

To jednak samo nie wystarcza.

Aby umieć dobrze wychować swe dzieci w przyszłości, aby zdobyć ich zupełne zaufanie, fundament wychowania, — musimy znać psychikę dziecięcą i młodzieńczą. I teraz właśnie, gdy swoje dzieciństwo dobrze jeszcze pamiętamy, zastanówmy się nad nim głębiej, znajdźmy formy postępowania względem istot podobnych... do nas samych w przeszłości.

Teraz także chciejmy poznać i zrozumieć siebie samych, w wieku młodzieńczym, uświadomić sobie, czego nam było trzeba ze strony rodziców, co my musimy w przyszłości uwzględnić w wychowaniu.

Nie zaszkodzi też, jeżeli teraz już sobie uświadomimy, że do założenia rodziny trzeba się też specjalnie przygotować. że takie przygotowanie jest konieczne i celowe, dowodzą chociażby „szkoły narzeczonych“ (w Niemczech i Danii), kursy gospodarstwa domowego (dla kobiet), kursy higieny dziecięcej. Pamiętajmy, że my takie przygotowanie przejść musimy, jeżeli będziemy chcieli obowiązek wychowania dobrze wypełnić.

Nakoniec uwaga najważniejsza.

Jeżeli będziemy chcieli, by nasze dzieci nie paliły przedwcześnie, nie piły, nie hazardowały się, nie były niemoralne, — będziemy musieli i my tego nie czynić w myśl słów p. M. Felińskiego, że: „Główną przyczyną demoralizacji wśród młodzieży jest zły przykład starszych.“

Zwalczyć jednak złe przywary i nałogi — nie jest łatwo, długo trzeba się zmagać ze sobą i przezwyciężać.

Weźmy się zatem odrazu do walki ze sobą, mając na myśli to, że w ten sposób przygotujemy się należycie do roli wychowawców i wychowamy takie pokolenie, które ziści nasze sny o Mocarstwowej Polsce.

L. Wysocki. G. P. H. S.

SAMOTNE BARREN.

W...

...I wyjdziesz cichą nocą na samotne barren
Myśliwiec smutny, błądzić po szlaku nieznanym
Tam przemknie tylko czasem cień karibu szary
Tam można wszystko zapomnieć... i ten czar zakłamany.
Życie nie sięga w głębiny, ostępy tajemne,
Gdzie nocą, wiosenną nocą leci w dal głośny zew krwi...
— W cichej głuszy kołysać ból, co w piersiach drzemie
I można marzyć długo, samotnie marzyć i śnić...
A kiedy Wielka Zmiana skryje świat puchem przebiałym,
Gdy noc zastygnie czarna, przetykana gwiazdami,
Można biec w dal śnieżystą, w dal od dni, co pozostały,
Samotną, własną drogą, gdzie nie trzeba radości kłamać.

T. K. G. P. H. S.

W podziemiach Tartaru.

(ORYGINALNY WYWIAD NASZEGO KORESPONDENTA Z KOL. ŻUKIEM).

Po wielkich trudach i zabiegach udało mi się uzyskać z kancelarii szefa rządu Hadesu, pana Plutona, pozwolenie na wywiad z kol. Żukiem, który po swoim kłótliwym żywocie tam na pokutę zawędrował. Wsiadłem tedy do kolejki linowej i opatrzony w wizy i paszporty, po kontroli dewizowej no i opłaceniu podatku od nierealności ruchomych ruszyłem w krainę nocy i cieni. Kolejka pędziła w iście diabelskim tempie. Przejechawszy błota i trzęsawiska Acherontu stanąłem nad rwącym Styksem. — Stary Charon siedział w motorówce najnowszego typu i drzemał, kiwając długą, ryżą brodą. „Hej! panie radco, za ile na tamtą stronę?“ Zbudził się stary i spojrzał na mnie wściekłym okiem. — „He?“ — „Za ile na tamtą stronę?“ — „Takiego, jak ty — tu spojrzał na mnie podejrzliwie — no... chyba... za „dychę“ z trudnością przewiozę.“ — „Co, za „dychę“? To przecież zdzierstwo!“ — zawołałem oburzony. — „A pan przypadkiem nie z urzędu skarbowego?“ — zapytał podejrzliwie. — „Nie! Uczeń jestem“. — „No, to za „ciaka“ przewiozę“ — mruknął uspokojony. Wyciągnąłem „ciaka“ i podałem staremu. „Czy aby nie fałszywe?“ — zapytał uderzając błyszczącą złotówką o stalową krawędź motorówki. — „Bo to dzisiaj co drugi na „kierę“, albo za fałszywą monetą do Hadesu chce się dostać. Ale ja nie dam!...“

Mruczał tak stary przez całą drogę i wyrzekał, na czym świat stoi. Tymczasem motorówka warczała wściekle, rozbijając stalową piersią czarne wody Styksu. Jakieś potworne figury wychylały się z toni i przyglądały mi się ciekawie. Przybiliśmy do brzegu. Podziękowałem staremu i ruszyłem w dalszą drogę.

Nagle z jakiejś czeluści podziemnej wyskoczył okropny Cerber i zaszczekał trzema paszczami. „Przepraszam pana łaskawego“ — słowa te, które wydarły mi się z zaciśniętej krtani, bynajmniej nie były uprzejme, raczej... lękliwe. „O co chodzi?“ — warknęły trzy paszcze. — „Proszę, oto paszport, wiza i prawo wejścia do Hadesu“. — „A ty tam po co?“ — „Chciałem zobaczyć się z żukiem“. — „Co, z Żukiem?“ Tu okropne mordy psiska wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu. „Żuka! he, he, he“ — zarechotał. „Znam go dobrze — kto go nie zna? Sam Pluton karę dla niego skombinował, bo...“ Nie skończył sympatyczny Cerber, gdy przybiegł posłaniec, który poprowadził mnie dalej. Po chwili weszliśmy do właściwego Tartaru. „Skazaniec Żuk odbywa pierwszą karę“ — poinformował mnie „piekielny cicerone“, prowadząc do ogromnej sali. Siedział tam Żuk za wielkim stołem, a naprzeciwko niego stały trzy najokropniejsze Erynie. Żuk spoglądał na jedną z nich i pisał mrucząc: „O piękna! o najpiękniejszy z kwiatów pól Elizejskich. Twe oczy, jak dwa bławatki, a lica zaiste jutrzenką młodości opromienione“. — „Co on robi?“ — spytałem mego cicerona. „Odbywa pierwszą karę, która polega na tym, by w jak najpiękniejszych słowach opisać krwiożercze Erynie“. — „A długo on będzie tak się męczył?“ — „100 może 1000 lat, dopóki Erynie nie będą zadowolone ze swego opisu“. Podszedłem do Żuka. „Jak się masz, stary!“ — „Serwus“ — odpowiedział obojętnie. — „Pisz!“ — zaskrzeczały wściekłe Erynie i wykrzywiły okropnie twarze. Czegoś tak ohydnego nigdy nie widziałem. Poprostu ani wyschnięte sine wargi, ani sterczące kości policzkowe, obciągnięte żółtą skórą, ani czerwone ślepia, ani ryże kołtuny nie dadzą się opisać w całej swej okropności. A Żuk mówił słodko: „Cudny kwiecie tulipanu, twe karminowe usta są jak rozchylone płatki róży stworzonej do pocałunków i pieszczot słońca“.

„Teraz ja!“ — zaskrzeczała druga Erynia i stanęła przed Żukiem, uśmiechając się bezzębnymi ustami. „Och! co za małpa!“ — jęknął Żuk. — „Co to jest małpa?“ — zaskrzeczała Erynia. — „Czy to ładniejsze od „kwiatu tulipanu“? — zawołała poprzednia, doskakując z pazurami do biednego skazańca. „Co to jest „małpa“? — spytały mnie wszystkie trzy równocześine. „To — to...“ — nie wiedziałem, co powiedzieć. — „Tak nazywają piękne kobiety na świecie“ podpowiedział mi Żuk drżącym głosem. „A co robią kobiety, by być małpami?“ — „Malują się — odpowiedziałem bez zająknięcia — usta na karmin, brwi na węgiel, policzki buraczkowo, czoło obsypują mąką, a włosy“... — „w ogniu utleniają“ — dopowiedział Żuk, uśmiechając sie mściwie. — Erynie skoczyły uradowane i z okropnym skowytem wyleciały na szarych skrzydłach.

„No, nim się umalują, włosy opalą, to upłynie sporo czasu“ — rzekł Żuk, wstając od stołu. — „Nim przyjdzie pora na drugą moją karę, to mogę ci pokazać Tartar.“ — „Właśnie, chciałem cię poprosić o maleńki interview“. — „Wykluczone. Kąpałem się w wodach Zety. Możesz tylko napisać, że zapomnienie piękna świata jest równie okropną karą, jak wyrabianie stylu na wściekłych Eryniach. Lecz chodźmy. Pokażę ci salę mąk V stopnia, to jest „Pracownię łacińską“.

Po chwili weszliśmy do ogromnej klasy, w której siedzieli na starych ławkach poważni patrycjusze narodu rzymskiego. W pierwszej ławie siedział Cicero z Neposem i uczył się, mrucząc coś pod nosem. Jego surowa twarz by-

ła wykrzywiona boleścią, a złote zęby gryzły niecierpliwie złote usta. „Na czym polega jego kara? — spytałem Żuka. — „Musi się nauczyć wszystkich swych mów na pamięć i przetłumaczyć je na język tutejszy“. Nagle wszedł Katilina, który w piekle zaawansował na oberdiabła. Wszyscy powstali. Katilina wyciągnął notes. „No, proszę Ciceronie“ — zawołał. Cicero przerażony i blady zaczął drżącym głosem: „Quo usque tandem abutere...“ — tu się zaciął, ani rusz dalej. „Wergiliusz, nie podpowiadaj, bo dwóję dam! — krzyknął Katilina. — Ciceronie, przecież ty nic nie umiesz. Ani w ząb. Siadaj!“ Cicero spuścił siwą głowę, a dwie łzy potoczyły się po surowych licach. „Teraz będzie klasówka“. Po chwili wszyscy pisali w skupieniu ducha. Katilina sępim okiem wodził po twarzach uczniów. Nagle zawołał: „Horacy, nie ściągaj z Salustiusza, bo on sam nic nie umie. Wergiliusz, nie zerkaj do zeszytu Liwiusza! Oddaj zeszyt! Dosyć tego!“ Spojrzałem na Cicerona. Cicero siedział blady, a spod ławki wyciągał... O Boże... bryk... i ściągał ze zręcznością starego wygi. Nagle Kotilina zauważył. „Mam cię, Ciceronie!... oddaj bryk... Nareszcie złapałem ciebie — ściągnąłeś?“ — „Przepraszam — wtrącił się żuk, któremu żal było biednego Cicerona — to nie ściąganie... to plagiat, więc niech wbity na Pal rozstrzygnie...“. A Pal orzekł, że w wypadkach nadzwyczajnych, w pośpiechu pracy uczniowskiej można posługiwać się drukowanym materiałem. To orzeczenie Palu wywołało eutuzjazm. Tłum mieszkańców Tartaru (każdy z nich był kiedyś uczniem) porwał Cicerona na ręce i wzniósł na trybunę. Cicero spojrzał na tłumy, jak za życia i zawołał grzmiącym głosem: „Quo usque tandem abutere, Catilina...“ tu się zaciął, lecz zerknął do książki i grzmiał dalej. A tłum szalał z entuzjazmu, widząc jak zgrabnie i zręcznie ściąga nowy członek Palu...

Opuściliśmy salę plagiatową, by zobaczyć dalsze okropności Tartaru. W sali matematycznej Apis męczył się nad rozwiązaniem równania z czterema nieświadomymi, a matematycy liczyli ziarnka maku i wyciągali pierwiastki 25 stopnia; gdzieindziej jakiś maniak golił brwi, które odrastały mu z szybkością 10 metrów na sekundę, w innym miejscu krwiożerczy Sęp łowił karaluchy, a Gacek kłapouchy drapał się na pierwsze piętro, skąd zrzucała go nadobna Gackowa. W ogóle życie wre w podziemiach Tartaru.

„Podobno wydajecie jakiś „Świat podziemny“...? — zapytałem. — „A tak, to jest jedna z mąk dla tych, którzy za życia dużo krytykowali, a nic nie pisali. Ale to wszystko... kapuśniak!“ — tu żyk pociągnął nosem i mruknął — „Patronat znów zupkę odtłuszczającą gotuje. Masz maskę“ — „Mam.“ — „No to włóż, gdyż będziemy musieli przejść przez korytarz obok jadalni.“ Nagle w oddali usłyszałem krzyk: „Pogotiwe gazowe!“ i wszyscy włożyli maski. Zaczęliśmy biec. „Nie mogę! — zawołałem przez pochłaniacz. — „Kapuśniak przedostaje się przez maskę“. — „No to chodź, wstąpimy na chwilę do sali teatralnej dla skazańców IV i V stopnia.“ Weszliśmy akurat w momencie, kiedy książę Mi-ki-ku-ki-ka mówił: „O piękna księżniczko Hau-Miau-Miau.“ A przez salę przebiegł dreszczyk zapału. „Co za cudny język! — zawołał żuk — co za styl! „Księżniczko“, przecież to jedno słowo pachnie wschodem. A dekoracje! te śliczne miotły z waty i to tło — doprawdy czarujący kontrast.“ Nagle podszedł do nas żabi Król. „Serwus żuk, nie bój się, nie połknę cię, chociaż — tu mlasnął językiem — jesteś smakowitym kęskiem...“ „ty ze Świata — zwrócił się do mnie — może mi poradzisz“. „A co takiego?“ — „Zakochałem się. Tak na śmierć. — jęknął żabi Król. — „A premier nie chce się zgodzić. Co robić?“ — „Abdykować“ — rzekłem zimnym głosem. Nagle uderzył gong. „Na mnie czas! — zawołał żuk. — żegnaj!“ — „A wywiad?“ — „Może innym razem...“

Z. Z. G. P. R. T.

METEOR.

W...

Z cichej samotnej głuszy, w wiosenną noc jasną
Wyleciał nad horyzont płonący meteor —
Życie w zdumieniu pokornie przed nim stanęło,
Marząc, że będzie słońcem błyszczał, że nie zgaśnie...

Niebo płonęło jego blaskiem tajemniczym...
— W modlitwie kornej wyciągam ręce do niego
Pragnąłem każdym drgnieniem zatrzymać go w biegu,
Przestałem patrzyć w smutek i godziny liczyć...

Szalonym wichrem przebiegł szlak seledynowy
W górę, w górę! ramiona prężą się ku słońcu
I tylko życie zagarniać w ramiona tęskniące,
Zapomnieć można słowa wszystkie, gorzkie słowa...

. . . .

Zenit pozostał za nim daleko, daleko...
I szelest cichy pośród spadających gwiazd...
Patrzyłem długo, jak w otchłań mroków uciekał
A potem błysnął raz jeszcze, błysnął — i zgasł...

W oczach został daleki błysk — niezapomniany,
Na ustach szept zamarłych wczoraj słów...
Już nigdy z mroków płomieniem nie powstanie
Złoty meteor — najpiękniejszy meteor mych snów!...

T. K. G. P. H. S.

Dziewczynka z przedmieścia.

Kilkuletnie jej życie było kroplą w oceanie ludzkiego życia.

Wiadomość o jej istnieniu w nielicznych tylko wypadkach wybiegała poza obręb kilku sąsiednich domów.

W chaosie ludzkich spraw nie było miejsca na interesowanie się nią.

Nie umarła w dzieciństwie, a więc tolerowano ją z dobrotliwą obojętnością, jak toleruje się setki i tysiące nieznanych bliżej dziewcząt, interesując się raczej ich masą, niż jednostką, nie chcąc i nie mogąc wgłębiać się w każde indywidualne życie.

A że nie wyróżniała się przy tym ani urodą, ani jakimś nadzwyczajnym talentem, tylko była sobie taką maleńką kruszyną, kto by tam zwracał na nią uwagę.

Plątało się to po świecie, wytrzeszczając ciekawe oczęta i pilnie obserwując wszystko, z czym się przypadkowo zetknęło.

Będąc dzieckiem ubogiego przedmieścia — stykała się od najwcześniejszego dzieciństwa nie z bogactwem, pięknem i dobrem. W małych, walących się domkach przedmieścia często gnieździ się brud, nędza i zło, a wiadomo, że nie są to dobrzy wychowawcy małych, dziewczęcych duszyczek.

Dziecko patrzyło na świat, uczyło się żyć, kształtowało duszę nie w idealnych warunkach i samo.

Bo i któż mu miał dopomóc w tej pracy, któż zaoszczędzić wielu bolesnych rozczarowań, czy zapracowany ojciec, borykający się z losem w ciężkiej walce o byt, czy matka tracąca siły na to, by związać koniec z końcem ich nędznego budżetu?...

Dobra to była kobieta, pobożna, pracowita; od wczesnego rana do późnej nocy można było widzieć jej niedużą, ciemną postać uwijającą się po mieszkaniu.

Dobra była, ale zbyt zmęczona życiem, pracą bez odpoczynku i wiecznym brakiem najpotrzebniejszych rzeczy.

Kochała dzieci; ostatni kęs odjęłaby od ust, by je nakarmić, by im sprawić jakąś radość.

Nie pędziła ich do roboty, nie traktowała surowo, choć takie postępowanie gniewało sąsiadki. „Niech się dziciska bawią, póki młode, dość je jeszcze życie umęczy". — lubiła mówić, gładząc zwichrzoną czuprynę najstarszej córki.

A dziewczyna patrzyła na matkę i uśmiechnięta jej twarzyczka posępniała.

Ze słów matki, z jej wytartego ubrania, z nędznego umeblowania izby wiała jakaś potężna a smutna moc, która ją przerażała.

Dziecko nie wiedziało jeszcze, że to była nędza, nie umiało jej jeszcze nazwać, chociaż stykało się z nią często.

Wychylała się ku niemu ze zmęczonych oczu ludzkich, z łachmanów żebraczych, z nędznych, ponurych suteryn, z rozwalonych płotów, z koślawych bruków.

Wychylała się bezczelnie i szponiastą łapę kładła na maleńkim serduszku, które zamierało z lęku i bólu.

Biedne, malutkie serduszko dziwnego dziecka, któż je umiał zrozumieć i ocenić? Wielu nie spostrzegało jego istnienia, dla wielu było zamknięte, harde i niewarte, by się nim zajmować.

Utartymi frazesami uczono je tylko, by było posłuszne, pokorne i dobre.

Nikt nie wiedział, ile w nim kryło się skarbów, że było jak piękny, wonny kwiat, jeden z tych, które dziewczynka tak lubiła zbierać po łąkach.

Przychodząc na świat przyinosła sobie od Boga największy dar dzieciństwa. Umiała marzyć; ubogą rzeczywistość oblekać w tęczowe barwy, dostrzegać to wszystko, co było wokół niej piękne.

Jeszcze pewnie pamięta te ciche, letnie wieczory, gwiazdy mrugające do niej tajemniczo z granatowego nieba, granie polnych świerszczy w trawie, mocną, ach taką strasznie mocną woń maciejki i białe otaczające ją narcyze.

Jeszcze ją widzę: siedzi na ławce, dłońmi otoczyła poranione, bose nogi, oczy błądzą po niebie, pewnie mówią z gwiazdami.

Jeszcze jej nie tknęła sucha i realna ręka nauki; ale dla niej gwiazdy to nie jakieś martwe światy, to promienne duszki, które przynoszą na świat łaski od dobrego Boga i w duszach sieją tę dziwną, świętą ciszę, której wówczas tyle było w niej; a nów księżyca to tylko złota łódź, błądząca po bezmiarach niebios.

Czy pamiętasz, jak zanurzałaś twarz w pachnącej maciejce? Już nie istnieją narcyze, które czuły delikatne dotknięcia twych drobnych paluszków, szukających serca kwiatu. Czy pamiętasz to wszystko, dziewczyneczko, czy pamiętasz i teraz nawet, gdy odwróciłaś już ostatnią kartę swego dzieciństwa? Wyniosłaś z niego czystą duszyczkę, nie imała się jej ani nędza, ani brud żaden. Była w tobie jakaś siła, która dążyła nieświadomie do piękna; nie umiałabyś jej nazwać, jak nie umiałaś nazwać nędzy, ale ją czujesz.

Szczęśliwaś, dziewczynko, a może nie — czy ja wiem! Gdybyś była inna, może byś mniej czuła, a więc i mniej cierpiała, czy ja wiem!

E. R. „Nazaret".

Z cyklu „Skrzydła“.

Trybuny zapchane głowa koło głowy. Wszędzie rozwarte usta wrzeszczą: „Ziemba! Brawo Ziemba!“ Chustki i czapki powiewają.

A on stoi spokojny koło maszyny, szczerzy białe zęby w uśmiechu, lewą rękę wsparł na zimnym, stalowym śmigle. Na okrzyki odpowiada lekkimi ukłonami.

Tłum szaleje, rozwarte usta wszeszczą, chustki i czapki powiewają.

Wybiegło z hangaru dwóch zasmolonych mechaników, stanęli koło maszyny. On dał ostatni znak ręką, wsiadł do aparatu, zapina spokojnie pasy. Mechanicy chwycili muskularnymi rękoma za śmigło, obrót w lewo, obrót w prawo, silnik warknął jak pies. Mechanicy odskoczyli, śmigło wpada w szalony wir. Silnik jednostajnie pracuje. Maszyna leniwie poruszyła się z miejsca, toczy się coraz szybciej, aż wreszcie po pięćdziesięciu metrach odrywa się ciężko od ziemi. Aparat szybuje w powietrzu, wzbija się coraz wyżej, aż gdzieś pod lazurowy strop nieba, zatoczył koło, pnie się mozolnie w górę: nagle przewrót. Błękitny ptak majestatycznie spływa w dół i łagodnie osiąga poziom.

Usta otwarte łapią oddech, oczy wlepione w skrzydlaty punkt. W loży honorowej obcy attaché siedzi w fotelu. W ustach trzyma nawpół zgasłe cygaro, niedbale śledzi samolot przez monokl. Na twarzy maluje mu się lekceważenie.

Tymczasem błękitny ptak buja już na wysokości dwóch tysięcy metrów, następują mechaniczen akrobacje, beczka, lot na plecach, lopping, wszystko wykonane z precyzją co do milimetra. Nagle silnik gaśnie. Ziemba wykonuje korkociąg, napięcie wzrasta do kulminacyjnego punktu. Aparat robi jeden przewrót, drugi, trzeci, czwarty, leci w dół jak kamień. Zbielały twarze tłumów, sine usta liczą przewrót piąty, szósty... Ogólny jęk... Ale o pięćdziesiąt metrów od ziemi silnik ryknął przeraźliwie, maszyna poderwała się gwałtownie, zatoczyła ostry łuk, musnęła w szalonym pędzie trzepocące się chorągwie nad trybuną attaché.

Wygolony Niemiec skurczył się w sobie, monokl spadł mu z oka, ten ujął go drżącymi rękoma, przetarł chusteczką i rzucił wzrokiem na lotnisko. W tym miejscu, gdzie w wyobraźni widział pogmatwaną kupę żelastwa, stał błękitny ptak Ziemby. On sam odpina pasy, wychodzi powoli z kabiny.

Tłumy ryczą, pod naporem ciał ugina się bariera, wreszcie pęka z przeraźliwym trzaskiem, tłumy pędzą, porywają lotnika na ramiona i niosą. On uśmiecha się, wzrok skierował ku loży; widzi tam małą osóbkę w niebieskim kostiumie. Zza bukietu róż wychyla się różowa twarzyczka, małe ukarminowane usta rozchylają się, ukazując szereg białych ząbków. Uścisk wolnieje, białe róże sypią się na żwir, ale za to małe rączki migają w powietrzu.

A Ziembie śmieje się w szczęściu opalona twarz.

* * *

Cisza, słychać tylko trzepot chorągwi, tłum wsłuchuje się i łowi najlżejsze szmery, dolatujące z powietrza, wszystko zamarło. Tylko w środku lotniska szybko, szybko poruszają się posłańcy. Grupka oficerów koło stolika sędziowskiego gorączkowo rozmawia lub obserwuje przez lornetki wschodni płat nieba.

Nagle ukazuje się biały punkt. Wszyscy odruchowo wyciągnęli szyje i wlepili weń wzrok. W mózgu wśród kotłujących się myśli dźwięczy pytanie: kto?

Słychać już łagodny, jak brzęczenie muchy, łoskot motoru. Punkt rośnie, rysują się już kształty samolotu.

Wtem ktoś z publiczności wrzasnął: „Ziemba!...“ ale niepewny umilkł, strach przed omyłką ścisnął mu krtań i wstrzymał cisnące się do ust wyrazy.

Warkot potężnieje, widać już białą awionetkę. Na skrzydłach rysują się czerwono-białe płaty.

Tłum ryczy, powiewa chustkami i czapkami. W loży generalskiej wyniośli dowódcy napróżno starają się zachować powagę, na usta ciśnie im się uśmiech, ogarnia ich niepowstrzymana chęć podzielenia się wrażeinami. Nie wytrzymali, po chwili loża krzyczy tak samo, jak publiczność. Wrzaski wzrosły do maximum, huk motoru przygłusza je, aparat mknie z szaloną szybkością, przecina stojące na drodze chmurki, zniża lot do lądowania.
Warkot wzrasta, słychać już tylko jeden ryk, wydaje się, że skrzydła nie wytrzymają takiego olbrzymiego oporu i aparat rozleci się w kawałki.

Wojskowi niespokojnie śledzą maszynę. Ale tłum jest pewny, wszak tam leci Ziemba, mistrz! Wtem muzyka motoru zaczyan się psuć, wkradają się dysonanse, warkot zcichł, motor strzelił raz, drugi, zza maski ukazała się krótka smuga ognia. Smuga szybko rośnie, przemienia się w długą wiechę, za nią biegnie chmura dymu.

Motor nie wytrzymał, do mety 800 metrów, przed lądowainem trzeba zrobić wiraż, nie zdąży — przelatują myśli jak błyskawice.

Tłum ucichł, zapanowała niezmącona cisza, tylko ktoś w przednich rzędach wrzasnął przeraźliwie.

Płomienie ogarnęły prawą część kadłuba, jednak biały ptak jeszcze leci, zniżył lot, minął biały pas mety i nagłym wirażem skręcił w bok.

Warkot zcichł, ale lada chwila grozi wybuch, ogień ogarnia prawą część aparatu.

Nagle obserwujący przez lornetki ujrzeli, jak małe drzwiczki od samolotu rozwarły się, stanęła w nich skulona postać, rozprężyła się.

Skok.

W dół leci mały, czarny przedmiot. Leci, jak kamień, zda się, że runie na ziemię. Ale Ziemba był przytomny, po stu metrach szarpnął linkę spadochronową, poczuł nagły wstrząs. Spadochron rozwinął się. Ocalony! Kołysał się w powietrzu i wolno opadał w dół, piekła go poparzona twarz i ręce. Przez mgłę widział, jak samolot leciał raptownie w dół, serce w nim drgnęło, w ustach uczuł smak goryczy a spod przymkniętych powiek spłynęły łzy.

Ziemia gwałtownie rosła, widział już lotnisko i słyszał przytłumione wrzaski. Znajdował się o kilka metrów nad trawnikiem, instynktownie ugiął nogi w kolanach, aby osłabić uderzenie. Uczuł nagły wstrząs, w oczach uczyniło mu się ciemno i upadł na ziemię nieprzytomny.

Przytomność.

Piersi miarowo podnoszą się i opadają. Otwarł oczy, nos wciąga powietrze przesycone swędem benzyny. Ujrzał kłąb dymu, unoszący się nad lotniskiem, zamknął oczy, skurcz bólu ściągnął mu usta.

Zażywny doktorek w rogowych okularach siarczyście zaklął i kazał przenieść omdlałego Ziembę do hangaru.

Tymczasem zjeżdżali się maruderzy; drugi przyleciał Anglik na eleganckiej i lekkiej awionetce, chodząca flegma. Wylądował precyzyjnie, wprost na linii, odpiął flegmatycznie pasy, wysiadł i nie zważając na liczne brawa, poszedł w stronę szczątków samolotu. Stanął nad nimi i żując gumę przyglądał się zimno uwijającym się strażakom. Pomacał nogą popiół i odszedł, kiwając głową, do stolika sędziowskiego.

Tłum szemrał niespokojnie, nie zważał na nowych zawodników, wszędzie obijało się o uszy słowo Ziemba.

Niepokój.

Już wszyscy zawodnicy ustawili się w szeregu, szmer w tłumie wzrósł. Nagle! Przez lotnisko kroczy Ziemba. Twarz ma zabandażowaną, widać tylko stalowe, smutne teraz oczy.

Tłum ryczy!

Stanęli szeregiem, wystąpił generał, coś mówił, podszedł do Ziemby, uścisnął mu prawicę całą w bandażach i przypiął do osmalonego munduru medal.

Ziembie zawirowało pod czaszką, jak przez mgłę patrzał załzawionymi oczyma na tłumy.

Pierś rozsadzała mu duma, serce trzepotało się radośnie. Ale gdzieś na dnie duszy jak szpilka kłuła go myśl: „Straciłem maszynę“. Nieświadomie potrząsnął ręką generała i smutnymi oczyma śledził unoszący się nad lotniskiem słup szarego dymu.

Róg. G. P. R. T.

Wpływ sztuki na człowieka.

Czyniąc przegląd ogromu prac, jakie ludzkość poświęciła sztuce, spotykamy coraz to wymowniejsze świadectwo zdolności człowieka do doskonalenia się.

Idą wieki za wiekami i człowiek uczy się myśl swoją natchnioną wcielać w kamień, barwę, dźwięk, w słowo. Powstaje sztuka, która stale doskonali się i potężnieje.

— Źródłem jej potęgi były i są skarby miłości — mówi Petrażycka. Ponieważ miłość jest uczuciem, można powiedzieć, że sztuka powstaje z uczucia, a przez to zawiera w sobie dużą dozę uczuciowości, udzielającej się temu, który podziwia sztukę.

Sztuka przyczynia się w dużej mierze do wprowadzenia zgody na miejsce chaosu, panującego wśród ludzi. Wskazuje człowiekowi to, co piękne!

Arthur Schopenhauer, filozof niemiecki, przyznaje sztuce znaczenie umoralniające. Do tego samego wniosku dochodzi autorka książki p. t. „Rozmyślania o sztuce“, wychodząc z założenia, że rzeźba, malarstwo, muzyka i poezja są wyrazem wzruszenia moralnego artysty.

— Światło, jasne barwy, blask słońca i jasna pogoda ożywiają nas i nastrajają wesoło. Ciemność, zachmurzone niebo budzą w nas strunę melancholii i smutku — pisze Raaf.

Podobne twierdzenie można zastosować do sztuki, która, zależnie od tego, jakim pierwiastkiem jest przepojona, nastraja odpowiednio człowieka.

Grecy, głębocy znawcy sztuki „pojęli i ocenili w całej pełni doniosły, umoralniający jej wpływ na człowieka.

Arystoteles przyznał sztuce potęgę oczyszczania namiętności i uświęcania natury ludzkiej.

Platon wykazał, że sztuka posiada ogromny wpływ na rozwój pojęć etycznych u człowieka. Pragnął on, by młodzi Grecy byli od dzieciństwa przygotowani do odczuwania i pojmowania piękna. Wierzył, że, gdy patrzy się na piękno, pięknieje się wewnętrznie. To też radzi wychowywać młodzież w otoczeniu pięknej natury, rzeźb, malowideł, wśród cudnych tonów muzyki i utworów poetyckich, które ugruntują w jej duszy zamiłowanie ładu i harmonii.

Pod tym wpływem bezwiednie młodzieniec nauczy się cenić to, co piękne i harmonijne, a usuwać się będzie od wszystkiego, co chaotyczne, wstrętne i złe.

Takie wychowanie, uważał Platon, zapewni młodzieży kulturę wewnętrzną, która lepiej i pewniej kierować będzie jej postępkami, aniżeli najdokładniejsze przepisy i zakazy!

Hieronim Ciurzyński, Gimn. Społ.

HARCERZE MÓWIĄ.

Z DZIAŁALNOŚCI 11 Z. D. H.

APEL KOLONIALNY.

W dniu 13-go lutego 1937 roku zebrała się 11 Drużyna Harcerska na wspólną gawędę, która została poświęcona sprawie morza w związku z przypadającą rocznicą zaślubin Polski z Bałtykiem. Znamy niewątpliwie wszyscy zdjęcie historyczne, gdy gen. Józef Haller rzuca w spienione fale Bałtyku złoty pierścień, który stał się symbolem łączności Polski z Jej „oknem na świat" — morzem. 10 lutego 1920 roku, to początek nowej ery. Ery, która oby się nigdy nie skończyła. Oby na zawsze miały polskie okręty pasażerskie czy wojenne swój port, Gdynię.

Zbiórka rozpoczęła się „Hymnem Bałtyku", który odśpiewała brać harcerska. Z okazji „Święta Morza" odczytał dh. Dźwigalski okolicznościowy artykuł z miesięcznika „Morze". Następnie opiekun naszej drużyny, p. dyr. Artymiak, podkreślił w kilku słowach szczerej rozmowy z harcerzami znaczenie, jakie mają dla życia gospodarczego i politycznego Polski kolonie, w uzyskanie których wkładają nasze władze wiele trudu.

Młodzież polska już w czasie wojny światowej zasłużyła na miano przedsiębiorczej i umiejącej dopiąć swego celu. Obróćmy karty historii: bohaterstwo lwowskich dzieci, nieustraszonych lwowskich Orląt, a ilu oddało życie za Polskę w Legionach?

My, dzisiejsza młodzież, jesteśmy w lepszym położeniu, my nie musimy oblewać pól krwią. Ale nie zapominajmy, że teraz jest i będzie jeszcze przez długie lata „Wyścig pracy".

Szczególnie my, harcerze, my, których poprzednicy ginęli na polach chwały, my musimy stanąć na czele młodzieży, rozwinąć sztandar i powiedzieć: Jak w 1920 roku odzyskała Polska Bałtyk, tak teraz, po 17-letniej próbie sprawności gospodarczej i politycznej, może i musi mieć Polska dalszy tytuł do miana mocarstwa: kolonie. Kolonie, ku którym popłyną jak fale z hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła" na ustach setki i tysiące tych, którzy cierpią nędzę, głód i może nawet są zmuszeni wyciągać rękę.

W drugiej części zbiórki odbyła się gra między zastępami, którą pokierował dh. Stachera. W grze tej chodziło o to, który zastęp da najtrafniejsze odpowiedzi w związku z F. O. N., z flotą polską, portami i t. p. W międzyczasie śpiewali druhowie najładniejsze piosenki harcerskie. Na zakończenie odczytany został rozkaz d-ha drużynowego R. Stolza, w którym na specjalne wyróżnienie zasługuje podjęcie przez drużynę akcji pomocy naukowej młodszym harcerzom, następnie nawiązanie korespondencji z harcerzami w Belgii i Holandii. Z dniem dzisiejszym drużyna nasza rozpoczyna konkurs pomiędzy zastępami, który ma na celu wzmożenie pracy.

Odśpiewaniem „Wszystko, co nasze..." zbiórkę zakończono. Oby tak wartościowych zbiórek było jaknajwięcej!

St. Art. 11 Z. D. H.

OD REDAKCJI.

G. P. R. T. „Zaślubiny" — nie aktualne. „Nimfa" — nie zamieścimy. Wiersz — nie zamieścimy. G. P. H. S. „Galimatias" — rzeczywiście galimatias. „Obowiązek" — nie zamieścimy. G. Sp. „Jesienna Muza" — zatrzymamy do jesieni.

Kurator: *M. Bojarska.* Redaktor: *J. Kapuściński.*

Druk F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.

Kino-Teatr „Luna„

KUPON ULGOWY

„ŚWIATA SZKOLNEGO"

upoważniający do nabycia jednego biletu zniżkowego dla jednej osoby, ważnego od 15. III. 1937 do 15. IV. 1937 r. z przerwą świąteczną.

za cenę: balkon 80 gr.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego, w Częstochowie, III Aleja Nr. 52, tel. 22-45.